



CO CZYTAĆ

Władysław Natanson o Michale Faradayu

Dzieje świecy, Michael Faraday, Prószyński i S-ka, Warszawa 1997

Wstęp pióra Władysława Natansona

Michał Faraday

I

Dnia 22 września 1791 roku w wiosce Newington Butts, od dawna już pochłoniętej przez rozrastający się Londyn, prostemu kowalowi Jamesowi Faradayowi urodził się syn Michał. Wraz ze starszym o trzy lata braciszkiem, Robertem, mały Michaś uczęszczał do szkoły; lecz nauka podobno szła trudno. Gdy chłopczyzna nie potrafił imienia brata wymówić inaczej niż w słodkim, dziecięcym brzmieniu, mniej więcej jak Łobert, rozgniewana nauczycielka rozkazała Łobertowi, by udał się do sąsiedniego sklepiku i kupił tam trzcinę; celem dokonania tak złowrogiej transakcji wręczyła wysłannikowi pół pensa. O ileż byłaby postąpiła rozsądniej, szlachetniej, gdyby była zatopiła się w myślach, gdyby usiłowała była zrozumieć mechanizm zajmującego językowego zjawiska. Nie, nie dopisała wówczas tej damie zdolność badawcza; zbłądziło jej serce, znajomość ludzkich charakterów zawiodła. Mały Robert cisnął o ziemię miedziany szelązek, który parzył mu dłoń okrucieństwem, i z głośnym płaczem pobiegł po matkę.

Rodzice przenieśli się wkrótce do miasta, od Tamizy na północ. Niedaleko ubożego domostwa, w którym znaleźli mieszkanie, w ulicy Blandford Street pod nr. 2, widniał sklep okazały, skład materiałów piśmiennych; można tam było nabyć zeszyt, ołówek, gazetę, kalendarz, a nawet i inną, nie byle jaką książeczkę; właściciel, p. Riebau, oprócz handlu uprawiał kunszt introligatora, życzył sobie jednakże, ażeby tytułowano go „panem księgarzem”. Dwunastoletni już Michał, oddany do terminu u pana Riebau, zamiatał pokoje, biegał za posyłkami, klientom roznosił pisma codzienne. Nie był to zresztą pospolity *shopkeeper*, ów pan Riebau: opiekował się Michałem poczciwie, rozumnie; miewał także dziwnych przyjaciół, jak pan Masquerier na przykład, Francuz, eks-malarz, polityczny emigrant i po trosze spiskowiec, który, polubiwszy młodzika, rozmawiał z nim chętnie. Romantycznie wtulony w wielki płaszcz aksamitny (krążyły pogłoski, że płaszcz ten był niegdyś zielony), rozповідаł zasłuchanemu chłopięciu, że Napoleona znał z bliska: miał pono portret Wodza *illo tempore* malować lub właściwie rozpocząć; być zresztą może, iż go tylko zamierzał rozpocząć. Poprawiając, ale na próżno, zwichrzoną ciemną czuprynę, napomykał, bywało, że spodziewa się kiedyś dostąpić najwyższych we Francji godności; na razie uczył Michała rysunku i zasady

perspektywy tłumaczył mu od niechcienia; gorzały wówczas zachwytem błękitne oczy słuchacza i ucznia. Po upływie lat uczeń odwdzieczył się nauczycielowi; gdy Masquerier, chory, włócił w smutku dni posępnej starości, Faraday, w uczuciu serdecznego przywiązania, przychodził mu w pomoc.

Panu Masquerierowi ani panu Riebau nie było wówczas wiadomo, że młodzieniec w nocy, ukradkiem, przy świetle łożówki, rozczytywał się w książkach, którym w dzień przyprawiał okładki. Poznał tą drogą pani Jane Marcet miłe (mdle nieco) *Rozmowy chemiczne* tudzież artykuł o elektryczności umieszczony w *Encyclopaedia Britannica*; przeczytał Watta *Życie duchowe (The Mind)*, o której książce później powiedział, że uczyła go myśleć; kilka innych dzieł naukowych (np. Lyonsa *Experiments on Electricity*) wraz z powieścią *Evelina*, pióra miss Panny Burney, które w tym czasie zakupił i własnoręcznie oprawił, z czcią do dziś przechowuje Instytucja Królewska w Londynie. Pozostałe swe oszczędności bez wahania poświęcał na doświadczenia chemiczne, na budowę małych fizycznych przyrządów; i te eksperymenty, te książki wypełniały mu duszę, te promyki wiedzy rozjaśniały mu serce. Brzydził się pracy rękodzielniczej, potępiał czynności kupieckie; poczytywał je za zdrożne zajęcia, służące egoistycznym rachubom człowieka. Wyobrażał sobie, iż, wprost przeciwnie, nauka uzacnia nas, uszlachetnia; że nie znosi zaślepień, zasklepień i małostkowych niechęci; że żąda rozwagi od swych wielbicieli i panowania nad grubym popędem; że uczy prawej, bezstronnej i czystej mądrości. Mylił się, na ogół mylił się, niewątpliwie; nie znał jeszcze z bliska zwierzęcia ludzkiego. Upraszczał życie; zamiast faktów miał przed sobą marzenie; atoli błąd, w który popadał, jakże go w naszych myślach rysuje. Technie nie prawd wiecznych niosło już wówczas naiwną, lecz piękną duszę młodzieńca ku wysokim moralnym wyżynom, tak trudno człowiekowi dostępnym.

Mając lat osiemnaście, dowiedział się z ogłoszenia, że niejaki p. Tatum z Dorset Street, w City, wypowie dwanaście odczytów o postępach fizyki; niestety! wstęp na jeden wykład kosztował szylinga. I znowu brat Robert pośpieszył z pomocą: obrońca, serdeczny opiekun, w potrzebie przyjaciel, z trudności wybawca. Pracowicie zdobyte grosze Roberta mądrze zostały wydane: Michał wiedział już wiele, dorozumiewał się więcej; pragnął uczyć się z książek, pragnął uczyć się z faktów; moc w nim drzemiąca nieświadomie domagała się trudu. W lutym r. 1812 zaszło na pozór błahe zdarzenie. Bywalec w sklepie pana Riebau, niejaki p. Dance, byt członkiem Instytucji Królewskiej; domyślając się, jaką radością może obdarzyć samouka (którego lubili wszyscy), zaprowadził go na cztery wykłady sir Humphry'ego Davy'ego. I od tej chwili, zrazu lękliwie, nieznacznie, później uporczywie, zawzięcie, pomimo przykrości, przeszkód i upokorzeń, szare życie pospolitego ucznia introligatorskiego, niemal bez jego woli, poczyna torować sobie niespodziewane, fantastyczne koleje. Jak w baśni cudowna królewna, podobnie Prawda, nieśmiertelna Prawda, krasa Stworzenia, czekała uśpioną, aż ją ów młodzian pocałunkiem geniuszu rozbudzi.